

Krzysztof Piskorski

Na wczoraj

Gdy nad ranem otwierano pocztę, jeden interesant stał już pod drzwiami, tupiąc z niecierpliwości. Wpadł do środka, jak tylko zaspany urzędnik zdjął z kraty kłódkę.

- Dzień dobry - rzucił, podchodząc do pierwszego otwartego okienka. Miał zmierzwione włosy, krzywo zapiętą koszulę i kurtkę poplamioną błotem.

- Gdzie się tak śpieszy? - spytała okularnica zza szyby. - Nie widzi, że komputery jeszcze wyłączone? Mężczyzna przeczesał nerwowo włosy.

- Ale ja mam sprawę niecierpiącą zwłoki...

- Co poradzę! Kierownik musi włączyć sieć. Listy i tak wychodzą dopiero o dwunastej - powiedziała, wracając do mieszania herbaty. On stał przy okienku, bębniąc palcami. Wreszcie, kiedy ekran się zapalił, spytała:

- Co ma być?

Mężczyzna wyciągnął z aktówki dużą kopertę.

- Polecony, priorytetowy.

Na otrzymanym blankiecie wypisał adres redakcji tygodnika „Gospodyni”. Urzędniczka przeczytała kwitek i od razu stała się miłsza.

- Łooo! Pisze pan tam te, no... artykuły?

- Czasem. Miałem zamówiony tekst i śpieszę się z wysyłką. Widzi pani, komputer mi padł.

- Na kiedy ma być? - spytała, odstawiając na bok herbatę.

- Na wczoraj! Zamykają numer dziś wieczorem. Czekają mnie kłopoty, nawet jak dojdzie natychmiast, a jeśli nie dojdzie...

Pokiwała głową z politowaniem.

- Będzie na wczoraj, ale wie pan, że to podwójna cena?

- Dobrze. Zapłacę, ile trzeba.

Urzędniczka zważyła list, nakleiła dziwny czerwony znaczek i odłożyła kopertę na bok. Policzyła okrągłe dziesięć złotych.

- O czym były pana artykuły? Bo ja każdy numer kupuję od trzech lat. Pewno coś pamiętam. - Och, nie będę się chwalił - powiedział mężczyzna z zażenowaniem. Nie miał czym, najnowszy tekst traktował o tajskim guru, leczącym gwiazdy Hollywoodu. Miał też na koncie takie hity, jak „Psychotest - sprawdź, czy jesteś zakochana!” i „Wychowuj psa bez stresów”.

Zbył grzecznie kilka ciekawskich pytań, po czym ruszył do domu. Czy przypadkiem te dziesięć złotych nie okaże się pieniędzmi wyrzuconymi w błoto?

Wieczorem oglądał wiadomości, kiedy zadzwonił telefon. Wcale nie śpieszyło mu się z podniesieniem słuchawki. To na pewno redaktor z informacją, że zrywa współpracę... Wreszcie przemógł się i wstał z kanapy.

- Halo? Witek?

- Przy telefonie. Dobry wieczór.

- Cześć! Twój ostatni tekst jest bomba. Wszedł na okładkę.

Boże, błogosław Poczcie Polską!

- Myślałem, że już nie zdążysz, wiesz? Nie odbierałeś maili od trzech pieprzonych dni! Dobrze, że artykuł doszedł wczoraj. Gdybyś go przysłał dziś, inaczej byśmy rozmawiali...

Witek stęknął z niedowierzania.

- Wczoraj?

- Ano wczoraj. W południe. Myślałem nawet, żeby zadzwonić, ale uznałem, że zrobię to po posiedzeniu redakcji.

Zapadła cisza.

- Witek? Jesteś tam?

- No.

- Słuchaj, byle tak dalej. Czekam na następny tekst - przygotuj kawałek o anoreksji, będzie okej do profilu numeru.

- Jasne - odparł Witek, błędząc myślami daleko.

Po rozmowie, w przedpokoju wygrzebał z kieszeni kurtki zmięte potwierdzenie nadania. Obejrzał je uważnie. Nie ulegało wątpliwości, data była dzisiejsza. Do końca wieczoru Rafał Witkowski próbował odgadnąć, jakim cudem paczka cofnęła się w czasie.

Wszyscy znajomi wiedzieli, że Witek był typem dociekliwym. Jego półki zajmowała fantastyka oraz prasa i literatura popularnonaukowa. Fantazja w połączeniu ze zdroworozsądkowym podejściem chroniły Witka przed obłudą, w jaki często popadali dziennikarze z branży pism kobiecych. Przesyłkę z przeszłości odebrał jako wyzwanie, rękawicę rzuconą w twarz.

Nazajutrz, czając się za rogiem i czekając na otwarcie poczty, czuł się jak bohater ulubionego opowiadania: „Tajemnica Organ Industries”. Kiedy urzędnik otworzył drzwi, Witek niespiesznie przekroczył próg.

- O, dzień dobry, dzień dobry! Jakiś nowy artykułik? - zawołała pani Irena.

- Nie, niestety. Tylko list do przyjaciela - rzekł, wyciągając kopertę. - Bardzo spóźniony.

- Ma być priorytet?

- A można na wczoraj?

Urzędniczka uśmiechnęła się.

- Dla pana? Oczywiście!

Wychylił się, przyciskając twarz do szyby. Tym razem dokładnie zobaczył naklejkę - miała czerwony napis „Przesyłka Specjalna, pracownik 933-21”.

- To będzie osiem dziewięćdziesiąt pięć.

Witek zapłacił, pożegnał się i wyszedł. Ruszył prosto do domu, szybkim krokiem. Pokonał ulicę, kilka podwojek i stanął pod swoją bramą. Wewnątrz od razu dopadł do skrzynki. Zamarł. List, który przed trzema minutami wysłał do siebie, leżał w przegródce jakby nigdy nic.

Tego Rafał Witkowski obawiał się najbardziej. Stał, gapiąc się na kopertę, i z trudem zbierał myśli. Zrazu chciał wrócić do urzędu z listem w kieszeni, żeby poprosić panią Irenkę o cofnięcie przesyłki. Mógłby przecież powiedzieć, że pomylił kartki i posłał koledze życzenia dla cioci. Co stałoby się później? Czy urzędniczka nie mogłaby mu zwrócić listu, bo został już doręczony (w takim wypadku niech wytłumaczy jak...)? A może odda mu przesyłkę, a on, paradoksalnie, miałby w rękach dwa listy do siebie, choć napisał tylko jeden?

Po namyśle Witek odrzucił pomysł konfrontacji. Bohaterowie jego ulubionych opowiadań nigdy nie szli pytać „jak”. A nuż pani Irenka jest obcym albo członkiem potężnej, ponadpaństwowej organizacji?

Nie. Tę sprawę trzeba załatwić dyskretnie. Pozostaje śledztwo.

Odczekał kilka dni, zbierając materiały i pisząc nowy artykuł. W końcu tekst „Anoreksja może dopaść i ciebie” był gotów. Można było zarzucić sieć. Pani Irenka siedziała w tym samym okienku co zwykle. Uśmiechnęła się szeroko do Witka.

- Dawno pana nie widziałam. Nic pan nie pisał?

- Pisałem oczywiście. Tylko że zazwyczaj korzystam z poczty elektronicznej.

Zasmuciła się.

- Ale komputery tak często się psują... - dodał Witek.

- Znowu mam awarię, a muszę dostarczyć artykuł.

- Na wczoraj? - spytała, sięgając po odpowiednią pieczętę.

- Na wczoraj.

Podał kopertę, zapłacił należną kwotę, pożegnał się, wyszedł. Potem okrążył najbliższy dom i dotarł na podwórko, znajdujące się z tyłu poczty. Sprawę tajemniczych listów trzeba zbadać od podstaw. Najpierw sprawdzi, kto je roznosi (jeśli w ogóle opuszczały budynek poczty).

Siadł na ławce i czekał. Cierpliwość i naukowe podejście zawsze popłacają. Około dziesiątej tylnie drzwi otwały się, na ulicę wyszedł listonosz. Witek ruszył w jego stronę szybkim krokiem. Doręczyciel przestraszył się chyba, bo sięgnął do kieszeni, pewnie po gaz.

Witek uśmiechnął się przyjaźnie, wyjął swoją, nieco przerobioną, legitymację studencką i machnął nią mężczyźnie przed nosem.

- Janusz Paczyński, Federacja Ochrony Praw Pracowników. Czy mogę zadać kilka pytań?

Listonosz wyjął rękę z kieszeni, ale podejrzliwość go nie opuściła.

- Czasu nie mam. Trzeba iść z przesyłkami...

- Zajmę tylko chwilę! Widzi pan, zbieramy dane o wyyskiwaniu pracowników w instytucjach państwowych. Proszę powiedzieć: czy nie czuje się pan czasem przepracowany?

Listonosz przekrzywił czapkę i podrapał się po karku.

- No... W sumie... tak....

- Czy nie uważa pan, że dostaje za małe wynagrodzenie? Czy przełożeni traktują pana niesprawiedliwie?

Mężczyzna skinął głową.

- Proszę więc mi pomóc, a ja postaram się pomóc panu - powiedział Witek, wyjmując z kieszeni notatnik.  
- Pana nazwisko?

- Mierzanowski. Bernard.

- Rok urodzenia?

- 1963.

- Od ilu lat jest pan pracownikiem poczty?

- Będzie już siedemnaście.

- W tym czasie żadnego awansu?

- Żadnego.

Witek pokręcił znacząco głową.

- Dobrze. Działania których przełożonych uważa pan za krzywdzące?

- Pani Krysi. Kierowniczkii. Cały czas tylko mię gania. „Panie Benek, pan przyniesie!”, „Panie Benek! Pan poda!”. A co ja jestem, za przeproszeniem. Jej sekretarz czy jak? Ja na etacie roznosiciela jestem. Każą mi robić rzeczy spoza, tego, no... zakresu obowiązków.

- Doskonale. Coś jeszcze?

- Pensja za mała. I od dwóch lat nie było podwyżki!

- Wyśmienicie. Będzie z tego pozew jak się patrzy. Sprawdzę jeszcze tylko kilka rzeczy.

Po tych słowach Witek chwycił w dwa palce rękaw listonosza. Uważnie zbadał materiał, a potem przyjrzał się spodniom i butom.

- Kiedy mundur był zmieniany?

- Oj, będzie z trzy lata temu.

- Rozumiem. A teczka nie za ciężka? - spytał, chwytając torbę listonosza.

- Dzisiaj nie, ale bywa, że i piętnaście kilo waży!

Witek udał zdziwionego. Odpiął pokrywę teczki i zajrzał do środka.

- Czy nie jest pan zmuszany do przenoszenia przesyłek szkodliwych dla zdrowia i życia?

- A jakże! Teraz roznoszenie listów to niebezpieczna rzecz! Zawsze może się trafić bomba albo te...no... wungliki.

Witek przebrał palcami listy. Pomiędzy nimi dostrzegł dwie koperty z nalepką priorytetu specjalnego. Jedna należała do niego. Zamknął torbę listonosza i uściśnął mu dłoń.

- To wszystko, bardzo dziękuję. Dane obejrzą prawnicy fundacji. Jeśli uznają, że powody są wystarczające do pozwania pracodawcy, skontaktuję się z panem. Miłego dnia.

- Do widzenia - powiedział listonosz, ściskając mu dłoń.

Witek obrócił się i odszedł, ale zatrzymał się tuż za rogiem. Wyciągnął z teczki lornetkę. Szczęście się do niego uśmiechnęło. Teraz musiał już tylko śledzić listonosza, aby dowiedzieć się, gdzie trafiają specjalne przesyłki.

Rafał Witkowski spodziewał się najosobliwszych rzeczy. Nie zdziwiłby się na pewno, gdyby śladem doręczyciela trafił do siedziby wielkiej firmy. Ba -nawet instytut naukowy, ratusz czy kościół nie zrobiłby na nim wrażenia. Z lat pracy w brukowcach wyniósł naukę, że rzeczy najmniej wiarygodne przeważnie okazują się prawdziwe. Zaskoczyło go jednak, że doręczyciel wszedł do bramy zwykłej kamienicy. Budynek cuchnął okropnie. Tynk odpadał ze ścian.

Witek, bardzo ostrożnie, wszedł do środka kilka chwil po listonoszu. Było tam ciemno. Tylko na wprost majaczyło nikłe światelko od uchylonych drzwi na podwórze. Witek widział idącą w tę stronę sylwetkę listonosza. Ostrożnie ruszył za nim.

Podwórko wyglądało jeszcze gorzej niż front. Było małe, z czterech stron otoczone starymi kamienicami. Zamiast trawy - klepisko, usłane psimi gównami jak sernik rodzynekami. Pod ścianami - sterty śmieci, które dawno wysypały się z nieopróżnianych kontenerów.

Witek przyczajony za progiem bramy lustrował teren. Listonosz nie uszedł daleko. Jego celem były drewniane drzwiczki, do których schodziło się zagłębnymi w ziemi stopniami. Drzwiczki musiały prowadzić do osobnej piwnicy. W lepszych dzielnicach robiono w podobnych miejscach sklepik, magiel czy inny punkt usługowy. Tutaj krzywo przybita cyferka świadczyła, że ktoś wykorzystywał ten loszek jako mieszkanie.

Doręczyciel zastukał kilka razy. Otworzył niski, zarośnięty mężczyzna w niechlujnym ubraniu. Wymienili kilka słów, których Witek nie dosłyszał. Drgnął jednak, gdy zobaczył, że listonosz przekazuje obszarpańcowi koperty z czerwoną nalepką. Strzał w dziesiątkę.

Witek poczuł się jak dziennikarz, który przytapał ministra z rosyjskim mafiosem. Ba - więcej! Poczuł się jak dziennikarz, który przytapał ministra z mafiosem na miłosnych uściskach w saunie! Listonosz tymczasem pożegnał się z mężczyzną i ruszył z powrotem w stronę bramy. Niedoszły szpieg zmieszał się bardzo. Zapomniał, że doręczyciel musi wracać przez jego kryjówkę. Odwrócił się i popędził w ciemność, trzymając rękę na odrapanej ścianie. Po kilkunastu krokach, mniej więcej w połowie bramy, wyczuł zagłębienie. Skręcił, prawie przewracając się na drewnianych stopniach. Zamarł w oczekiwaniu. Listonosz minął Witka. Jego kroki oddaliły się.

Co za emocje! Zupełnie jak w filmie! Witek nie zwrócił uwagi, że pokaleczył dłoń o płyty popękanej farby. Opuścił bramę, kierując się przez podwórko prosto do drewnianych drzwiczek.

Już zamierzał zapukać, gdy nagle doznał dziwnego uczucia. Zdało mu się, że kiedyś (i to wiele razy) widział to miejsce. Potrząsnął głową. Niemożliwe. Był w tej okolicy pierwszy raz w życiu.

Zastukał mocno. Otworzył ten sam, zarośnięty człowiek. Z bliska okazało się, że właściciel piwnicznej posesji strasznie śmierdzi. Miał odzież niepraną od miesięcy.

- Czego? - spytał ochryplym głosem. Witek użył kolejnego fortelu.

- Dzień dobry! Roman Bracki z Biura Administracji Komunalnej.

Wyciągnął rękę, ale gest pozostał bez odpowiedzi.

- Dla kogo dobry, dlatego dobry. Spadaj.

- Skąd taki zły humor? To zwykły przegląd techniczny, proszę mnie wpuścić.

- Kłamiesz.

- Proszę pana! Zgodnie z umową najmu, okresowo....

- Już mówiłem! Kłamiesz. Z administracją masz tyle wspólnego, co ja z prezydentem.

- Zapewniam, że...

Mężczyzna wyszczerzył nadpsute zęby.

- Wystarczy, Witek. Ładuj się do środka i przejdźmy do rzeczy.

Witek wytrzeszczył oczy.

- Skąd pan mnie zna?

- Po prostu znam i tyle. Wejdiesz wreszcie?

Sprawa wyglądała coraz dziwniej. To tylko podsyciło ciekawość Witka. Pochylił głowę, aby nie uderzyć w niski strop, i przekroczył próg. Wnętrze wyglądało nędznie całe zasłane szmatami i odpadkami. Na ścianach wilgoć i grzyb. Jedynym meblem z prawdziwego zdarzenia był stolik, na którym leżała bateria pustych butelek po winie. Były tu również trzy plastikowe krzeselka, pewno zwędzone z miejskiego ogródka.

Brodacz wskazał jedno z nich, zamknął drzwi i siadł na drugim. W piwnicy było zimno.

- Proszę mi powiedzieć, skąd zna pan moje imię - zażądał Witek.

- Dowiesz się w odpowiednim czasie. Mów, po coś przyszedł, tylko bez wykrętów.

Pogroził grubym, czarnym od brudu paluchem. Chłopak podrapał się po głowie.

- Tak... Od czego by tu zacząć... Zaciekawiała mnie sprawa pewnych przesyłek. Chodzi o listy z priorytetem specjalnym, które dochodzą dzień przed datą nadania.

Brodacz przyjrzał się butelkom na stole. Wybrał taką, w której zostało jeszcze kilka kropli, i osuszył ją jednym łykiem.

- Chciałem wyśledzić - kontynuował Witek - gdzie dokładnie idą przesyłki. Szedłem za listonoszem i trafiłem do pana.

- Do stu diabłów - zaklął brodac, rzucając flaszkę za siebie. - Pazerny dureń ten inżynier Kramowski! Mówiłem, że ktoś się sprawą zainteresuje, a on nic. Gadał, że dobrze będzie.

Witek notował wszystko w pamięci.

- I wiesz co? Niepokoi mnie, że to ty się zjawiłeś. Po ostatnim spotkaniu miałem nadzieję, że nigdy już nie będę musiał oglądać tej gęby.

Chłopak zmarszczył się.

- Nie żebyś był brzydki. Nie obrażaj się. Po prostu twoja obecność świadczy, że pewna sprawa nie jest uregulowana, choć uważałem ją za zamkniętą.

- Jaka sprawa!? Dość już ogólników! Powiedz pan wreszcie, skąd mnie znasz! Mężczyzna potarł brodę.

- Hmm... Widzisz.... Historia jest niezłe poplątana, więc uważaj, żeby się nie zgubić. Wszystko zaczęło się dwa miesiące temu. Obudziłem się właśnie z popołudniowej drzemki i widzę na stole takie dziwne coś. Wyglądało jak gruba bransoletka z mnóstwem przycisków. Wiesz - taki gadżet z filmu sajenfikszyn. No to ja sobie myślę: ktoś musiał wleźć, kiedy spałem, i to podrzucić. Ale okazało się, że drzwi były zamknięte na klucz - tu brodac przerwał, charknął i splunął siarczyście w bok. - Widzisz, Witek. Ja zawsze dokładnie zamykam drzwi, żeby mi się gównażeria nie pętała. Zupełnie nie mogłem zrozumieć, skąd ta błyszcząca rzecz się wzięła. Podniosłem ją i w tym momencie, choć jestem pewien, że nic nie przyciskałem, coś błysnęło i w kącie pojawił się śmieszny dziadek w srebrnym kombinezonie. Trzymał w ręku pepeszę i był (jak na swój wiek) solidnej budowy, choć kombinezon i tak wisi na nim luzem. No i ten dziadek nawija do mnie po rusku: „Psia krew! Znowu zapomniałem chronotransportera! To wszystko przez was, obywatelu. I przez tego drugiego szuję. Towarzysz Pietrow nogi z dupy by mi powyrywał, gdyby się dowiedział. Ale się nie dowie. Dawaj bransoletę, Polaczek, bo pociągnę z automata”. Ja, widzisz, nie lubię, jak ruski dziad nazywa mnie „Polaczek”. Tak więc mówię: „Spadaj, kacapie! Nic ode mnie nie dostaniesz! I nie wywijaj pukawką, bo wezwę policję”. A on na to jak nie ryknie: „Myślisz, Polaczek, że żartuję? Przez was i przez tego Witkowskiego mała nie skończyłem na Łubiance!”. I w tym momencie, Witek, coś mi się zaczęło przejaśniać. Zorientowałem się, że ja już tego gościa widziałem. I bransoletkę też. Ruski powiedział: „Nu, dawaj chronotransporter! Nie mam czasu na zabawę”. Odbezpieczył automat. Miałem szczery zamiar oddać mu ten złom, ale coś mnie zaczęło kusić. Poczułem, że powinienem teraz nacisnąć taki a taki przycisk, a potem pociągnąć za małą czerwoną dźwignię. No i,



cholera, zrobiłem to. Wdusiłem przyciski i przesunąłem wajchę. A potem wyciągnąłem bransoletkę w jego stronę. Zdążył jeszcze krzyknąć: „Nic nie ruszaj, bo strzelam!” i zniknął w jasnym błysku. Tak, widzisz, stałem się właścicielem dziwnego urządzenia - to mówiąc, brodacz podszedł do swojego barłogu i spod pożółkłej poduszki wyciągnął bransoletkę.

Witkowi oczyomal nie wyszły na wierzch.

O tej właśnie godzinie, trzydzieści osiem lat wcześniej, w podziemiach budynku Politechniki Moskiewskiej przy Budionowskiej 12 przygotowywano się pośpiesznie do kolejnego lotu. Inżynier Anatolij Iwanowicz Pietrow krążył groźnie po sali, a technicy w białych kitlach pracowali, jakby sam diabeł stał nad nimi z batem. I rzeczywiście był tam diabeł. Patrzył na krzątanicę zza pleców Piętrowa, chodząc za nim krok w krok. Tyle że był to diabeł w ludzkiej skórze - komisarz polityczny Wasilij Gołowkin.

Para buchająca z ust skraplała się na bokach elektro-turbin i małymi strużkami ściekała na posadzkę. Laboratorium znajdowało się prawie dwadzieścia metrów pod ziemią, a na dodatek miało niezbyt sprawną wentylację. Było tu zawsze bardzo wilgotno, choć sekretarz Rolników zapewniał Anatolija Iwanowicza, że otrzyma najdogodniejsze warunki do pracy.

Technicy męczyli się, stłoczeni w dusznym pomieszczeniu, ale nie narzekali. W końcu przypadł im zaszczyt pracowania nad najważniejszym projektem w ZSRR od czasów bomby wodorowej.

Gdy wielkie jak szafa, świecące tysiącami lamp komputery rozpoczęły pracę, gdy szpule z programem lotu zaczęły leniwie się obracać, do sali wkroczyli chrononauci. Naukowcy zamilkli, patrząc na młodych, masywnych mężczyzn w srebrnych kombinezonach. Między nimi stał profesor Kiryłło, także wyznaczony do tej ważnej misji.

Chrononauci zajęli miejsca na podestach, do których technicy podpięli kable wysokiego napięcia. Turbiny poszły w ruch, ryk generatorów wypełnił natychmiast pomieszczenie.

- Ojczyzna na was liczy, towarzysze! - krzyknął Anatolij Iwanowicz. Jego głos z trudem przebijał się przez hałas.

- Chronotransportery załadowane?

Mężczyźni w kombinezonach sprawdzili urządzenia przyłączone do nadgarstków, po czym skinęli kolejno głowami.

- Założyć szkła ochronne! Trzeci poziom zasilania! Wszyscy zgromadzeni w laboratorium założyli przyciemniane okulary.

- Towarzyszu Kałużkin! To wasza ostatnia szansa! Proszę jej nie zmarnować! - krzyknął Pietrow do jednego z chrononautów. Ten zsalutował.

- W drogę!

Laboratorium utonęło w rozbłysku śnieżnej bieli.

Bransoleta była gruba, solidnie zrobiona. Miała klawiaturę numeryczną, dwucyfrowy wyświetlacz z diod, trzy przyciski i czerwoną dźwignię. Witkowski dotknął jej, ale szybko cofnął rękę, jakby bojąc się, że coś zepsuje.

- Czy to... Czy to jest maszyna do podróży w czasie?

- Generalnie rzecz ujmując, tak. Ale działa dziwnie jakoś. Widać, że rosyjski projekt.

- Dziwnie?

- Widzisz: nie dość, że w czasie, to jeszcze potrafi przenosić z miejsca na miejsce. Ale jest jeden szkopuł. Postarza lub odmładza w zależności od tego, w którą stronę czasu się przenosimy.

- Czyli nici z obejrzenia dinozaurów?

- Uwierz mi, Witek: nie chciałbym wiedzieć, w co byś się zmienił, gdybyś wstukał taką datę.

- A co z paradoksem młodszego Ja"? Można spotkać samego siebie?

- Nie. Automat, jakby to powiedzieć, podmienia ciebie starego na ciebie z przyszłości.

Witek zmarszczył czoło.

- No nie wiem - rzekł. - Brzmi jakoś podejrzanie. Inaczej to opisują w książkach i filmach.

- Do diabła! Czy jakiś pisarz miał w ręku podobną maszynkę?

- No... chyba nie...

- To skąd, na ciężką cholere, mógłby wiedzieć, jak takie coś działa!?

- W sumie masz rację... Próbowałeś?

- Próbowałem. Gdyby nie szczęśliwy przypadek, srałbym dzisiaj w pieluchy.

- A przyszłość?

- Witek! Wiesz, co ja mam zamiast wątroby? Skąd, do cholery, mam wiedzieć, że nie wykituję, jak postarzę się choćby o pół roku!

- Czyli używasz go tylko do listów?

- Dokładnie. Chciałem to ustrojstwo sensownie wykorzystać, więc opowiedziałem wszystko staremu

znajomemu. To kierownik Poczty Głównej. Facet ma głowę na karku i wpadł na pomysł, że zatrudni mnie do dostarczania w przeszłość przesyłek. Widzisz, ten oddział miał koszarne statystyki, a liczby ujemne w terminach dostarczenia bardzo to poprawiły.

Brodacz podszedł do ściany, na której wisały dwie przegródki. W jednej leżały koperty. Druga była pusta.

- Dostarczone do mnie listy wkładam do pierwszej i cofam w przeszłość o parę dni, przesuując jednocześnie w przestrzeni. Tak więc w drugiej przegródce codziennie zjawiają mi się listy z przyszłości, które oddaję na pocztę. Problem polega na tym, że od paru dni nic się nie zmaterializowało. Co, do diabła, znaczyć może tylko jedno. Z jakichś przyczyn wkrótce nie będę wysyłać listów. Sam się domyślasz, Witek, że przyczyny mogą być niewesołe.

Witkowski przytaknął. Tylko jedna rzecz ciągle go nurtowała.

- Ale jeszcze nie wyjaśnił mi pan, skąd mnie pan zna. Brodacz roześmiał się.

- Tylko bez „panów”. Teraz tego nie pamiętasz, ale jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Alojzy Bątel, do usług. Mów mi Alo.

- Dobrze, Alo. Zupełnie cię nie kojarzę, więc może wyjaśnisz mi, kiedy i jak się spotkaliśmy.

- Widzisz, odkąd spławiłem tego Ruska, co dzień przypominało mi się coś nowego. Były to tylko strzępki. Niedokładne, pojedyncze obrazy. Ale widziałem w nich ciebie. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, dokładnie tak jak dzisiaj - jestem pewien. Wciąż tylko nie pamiętam o czym.

Rafał Witkowski zamyślił się. Słowa brodacza otworzyły w jego głowie zamkniętą dotychczas szufladę. Twarz Alojzego stała się bardziej znajoma. Witek usiadł ciężko za stołem.

- Chyba... także zaczynam cię poznawać.

- Tylko co to, do diabła, znaczy?

- Nie mam pojęcia...

Nagle w piwnicy rozbłysło światło. Witek i Alo przysłoniли oczy. Wokół rozbrzmiały krzyki, żywcem wzięte z „Czterech pancernych”.

- Ani zdies, tawariszcz pałkownik!

- Ruki wierch, sobaki!

Alo potrząsnął głową. Mroczki rozpląły się i zobaczył wyraźnie sześciu dziadów w srebrnych kombinezonach, z pepesami w rękach. Siódmy leżał na ziemi, trzymając się za serce.

- Jak tam Bałuczyn, Saszka?

Jedna z sylwetek pochyliła się nad leżącym. - Martwy, towarzyszu pułkowniku. Pewnie zawał. Oficer odwrócił się do dwóch wciąż śmiertelnie zdziwionych gospodarzy i krzyknął:

- To przez was, obywatelu Bątel! Gdybyście nie robili kłopotów przy aresztowaniu, do niczego by nie doszło.

- Całuj mnie w nos, dziadu borowy!

- Uch! Zaraz inaczej będziesz gadał.

To mówiąc, odbezpieczył pepeszę. Stojący obok chrono-nauta położył mu na ramieniu rękę.

- Towarzyszu pułkowniku! Bardzo... źle się czuję. Załatwmy to szybko.

- Racja. Obywatelu Bątel! Odłóżcie to urządzenie! Jest własnością Związku Radzieckiego!

Alo ważył chronotransporter w rękach, jakby się zastanawiając. W końcu jednak położył go na krawędzi stołu.

- Teraz ty, Witkowski! Lecisz do swojego donicju. Powiedzmy... dwa tygodnie wstecz. Aleksiej! Wymaż mu dokładnie pamięć!

Jeden z Rosjan podszedł do Witka z dziwnym urządzeniem, które wyglądało jak góra od krzesła elektrycznego, skrzyżowana z kalkulatorem „Bolek”. Dziennikarz chciał się bronić, ale dwóch komandosów chwyciło go za ręce i unieruchomiło. Trzeci założył na jego głowę aparat.

- Geriatryczna mafia! Ja to wszystko w dzienniku opiszę!

- Nic nie opiszecie, obywatelu. Dawaj, Aleksiej! Technik przycisnął parę guziczków, a Witek rzucił się kilka razy. Łypnął białkami, osunął się na ziemię. Pułkownik po chwili włączył swój chronotransporter i chłopak zniknął, świecąc na pożegnanie jak czarnobylska krówka.

- Co mu zrobiliście, szuje?

- Nic. Powinniśmy was za te wszystkie kłopoty rozstrzelać, ale towarzysz Pietrow powyrywałby nam nogi z dupy. Cały czas tylko bają o kontynuuum czasoprzestrzeni czy jakoś tak. A wiecie co, Bątel? Ja mam serdecznie w dupie jakieś tam kontynua pospołu z czasoprzestrzenią. Nawet bym zaryzykował. Więc nie drażnijcie mnie i wykonujcie rozkazy.

Alo spurpurowiał, lecz nic nie rzekł. Za to odezwał się jeden z komandosów.

- Towarzyszu... pułkowniku... ja chyba... zemdleję... - wydusił. Oparł się ciężko o ścianę, lecz zaraz upadł, tracąc przytomność.

- Saszka, co jest? Saszka!

- To serce, towarzyszu pułkowniku.

- Do diabła!

- Aleksiej! Cały pokój o pół miesiąca wstecz! Szybko, zanim Sasza się nie przekręci.

- Tak jest!

Fala światła zalała pomieszczenie, a wszyscy poczuli dziwne skręcanie w żołądku. Pozornie nic się nie zmieniło, jednak Alo zauważył, że grzyb na jednej ze ścian cofnął się. Poza tym wątroba jakby mniej bolała. Rosjanin odzyskał szybko świadomość i usiadł, rozglądając się wokół tępych wzrokiem.

- Jak się czujesz? - spytał dowódca.

- Podle, towarzyszu pułkowniku.

- Trzymaj się. Zaraz wracamy. Aleksiej! Wymaż obywatelowi Bątlowi pamięć.

- Tak jest.

Alojzy stawiał większy opór niż Witek. Zdołał kopnąć w kostkę jednego z przeciwników, a drugiemu odgryźć kawałek ucha. W końcu jednak przycisnęli go do ściany i włożyli mu na głowę złowrogie urządzenie. Potem Bątel poczuł nagłe szarpnięcie, przypominające elektryczny szok.

- Alojzy! Nie dotykaj tego drucika, na miłość boską. Kopnie cię prąd! -Auuuuu!

- A widzisz? Jak będziesz dalej pchał łapy, gdzie nie trzeba, to je kiedyś stracisz! I rzuć ten kamień! Co zamierzasz z nim zrobić, na miłość boską!?

- Chciem oddać małpom.

- Nie wychylaj się! Spadniesz do wybiegu! Zostaw ten kamień! Utrapienie z tobą!

- Auuuuuu!

- Nie chwytaj za drucik! Niedobry chłopiec! Już nigdy nie pójdę z tobą do zoo. Słyszysz? Czego chcesz od tych biednych zwierząt!?

- Chciem oddać małpom, bo one rzucają om w ludzi kupom. Rzuciły raz wujka. I on był bardzo zły!

- Przestań się gramolić na murek! Chodź tu!

- Baaaaaaabciuuuuuuu! Tylko raz w nie rzuceni!

- Nie ma mowy, młody człowieku! Idziemy!

- Baaaaaaabciuuuuuuu!

- Zostaw drucik, mówię!

- Auuu!

Alojzy ocknął się obolały. Chwilę leżał, patrząc tępo na zagrzybiony sufit. W głowie, w miejscu

ostatnich godzin, miał tylko pustkę. Podniósł się i spojrzął na leżące wokół, opróżnione butelki. Ze zgrozą próbował przypomnieć sobie, co takiego wypił, że ścięło go z nóg..

Nagle jego wzrok przyciągnął dziwny, srebrny przedmiot, leżący na krawędzi stołu. Bątel wstał powoli i zbliżył się, by go obejrzeć. Była to jakaś bransoleta z wyświetlaczem, guziczkami i małą, czerwoną wajchą. Patrząc na nią, Alojzy poczuł dziwną wesołość. Zupełnie jakby widok urządzenia przypomniawszy mu dawno zapomniany dowcip...

W tym samym momencie, kilka ulic dalej, Rafał Witkowski siadł do klawiatury. Cały dzień obijał się i czytał. W końcu jednak zdołał się zmusić do pracy. Wstukał tytuł, brzmiący dumnie: „Szaman z dżungli w Hollywood!”. Westchnął ciężko. Powinien był oddać ten tekst już do ubiegłego numeru. Jeśli spóźni się jeszcze raz, redaktor podziękuję mu za współpracę pięknym kopniakiem. Dwa tygodnie to niby wystarczająco dużo czasu, ale sieć co chwilę pada, a o zwykłej poczcie lepiej zapomnieć... Ech! Gdyby mieć taką maszynkę, co pozwala wysyłać gotowe teksty w przeszłość! Żyłoby się o wiele łatwiej!